Wacław Sieroszewski



Wśród lodów

Wacław Sieroszewski

WŚRÓD LODÓW

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Wacław Sieroszewski
„Wśród lodów”

Copyright © by Wacław Sieroszewski, 1938
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Druk: Zakłady Graficzne „FENIKS“, Warszawa
Wydawnictwo: Towarzystwo Wydawnicze „RÓJ“
Warszawa, 1938

ISBN: 978-83-8119-358-0

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706
http://www.psychoskok.pl/
http://wydawnictwo.psychoskok.pl/
e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

WŚRÓD LODÓW

I.

Amerykańskie „Towarzystwo Mórz Północnych“ postanowiło wysłać okręt do jednego z biegunów. Wybrano biegun północny, a z okrętów „Nadzieję“, najlepszy parowiec Towarzystwa.

W końcu czerwca statek wyruszył z San Francisco; po upływie dwóch tygodni przebył cieśninę Beringa i wypłynął na szerokie przestworza oceanu, gdzie w dali ukazało się przed nim wkrótce perłowe widmo pierwszych lodów. Słońce oświecało je właśnie, a one pływały w jego promieniach przejrzyste, powiewne, niby odłamki srebrnych obłoków, zwracając ku niemu cyple swe i krawędzie, zapalając się szybko gasnącemi blaskami.

Załoga „Nadziei“, zgromadzona na pokładzie statku, w milczeniu przypatrywała się temu pięknemu i groźnemu zjawisku. Statek, pędzący całą siłą pary wśród jasnej, nieskończonej przestrzeni wód, podobny był do maleńkiego chrabąszcza, lecącego ku swej zgubie. Zostawiał za sobą przez chwilę tylko widzialny obłoczek dymu i brózdę pieniącej się wody.

Gdy wpadli nareszcie między lody, przybladł nad nimi lazur nieba, a widnokrąg przyćmiła mgła lekka.

Załoga dobrze była usposobiona i pewna siebie, gdyż Towarzystwo nie szczędziło wydatków na zaopatrzenie okrętu i przeznaczyło podwójny żołd dla wszystkich.

Nad archipelagiem lodów unosiła się mgła; a one kołysały się

z boku na bok, niby gromada białych, z łapy na łapę przestępujących niedźwiedzi, i chrobotały, uderzając o siebie. Ten chrzęst, ten pomruk złowróżbny rósł, wzmagał się, potężniał, w miarę jak zwężały się przesmyki wolnej wody; aż przeszedł w nieustający huk, który przy najmniejszym wietrze zmieniał się w ryk straszny. Towarzyszący mu plusk fal, ciężkich i przyduszonych, przypominał kłapanie kłów rozszalałego zwierza.

Przejścia wśród lodów stały się tak wąskie i tak często zmieniały kształt, że statek, lawirując wśród nich, kreślił drogę, której obraz, odrysowany na mapie przez starszego oficera, porucznika Will'a, przedstawiał zbiór łamańców bardzo podobnych do pisma arabskiego. Kapitan Mersey prawie nie schodził ze swego mostku: nikt nie wiedział, kiedy on spał. Czas jakiś statek posuwał się naprzód, krusząc mniejsze zapory, omijając większe; aż wreszcie zadął silniejszy wiatr i lody natarły mocniej. Zamykając odwrót, uwięziły okręt w niewielkim basenie, utworzonym przez duże pola lodowe, bokami do siebie przyparte. Prąd pochwycił statek wraz z temi polami i poniósł go na północ.

Pędził ku zimie i ona śpieszyła na jego spotkanie. Słońce pokazywało się tylko na krótko; panowała noc nietyle ciemna, co długa. Zimno stawało się coraz dokuczliwsze. Wilgotne liny od masztów i rej zamieniły się w pałki twarde i sztywne; pokład statku pokrywał się śliską skorupą lodu, którą co rano trzeba było zeskrobywać szpadlami. Majtkom kazano włożyć ciepłą odzież. Ze wszech stron wiały dokuczliwe wiatry. Morze kołysało się niespokojnie, podnosząc w górę okręt i lody. Załoga „Nadziei" żyła w bezustannej trwodze o los statku. Nakoniec

pękły ochronne pola lodowe i kry z łoskotem wściekłym rzuciły się na okręt. Jak okiem sięgnąć, wszędzie widać było ruchome ich zastępy. „Nadzieja" czas jakiś szła wśród nich, krusząc lód dziobem i zatapiając pod sobą; lecz walka taka długo trwać nie mogła. Lody, jak gdyby statek dopiero teraz spostrzegły, wszystkie rzuciły się ku niemu. Kry, bryły, góry lodowe, lazły sobie na grzbiety, bijąc się i rozpychając w szalonym pędzie ku nieszczęsnemu statkowi. Gwint i maszyna dawno działać przestały; statek poruszał się pod naciskiem zewnętrznej siły. To zapadał się w głąb, wśród ogłuszającego grzmotu pękających lodów, które, spiętrzywszy się dokoła niego, ze złowieszczym chrzęstem wysuwały naprzód swoje szczerbate, sinobiałe łapy, potrącały rogami kryształowych tafli, grożąc zmiażdżeniem; to znowu wyparty na sam szczyt, stał tam chwilę, jak oblężona twierdza, dokoła której w zwartym boju uwijały się rozhukane lodowce. Wyparły go nakoniec na brzeg ogromnej kry; padł na bok, jak wyrzucony przez morze wieloryb. Uderzenie było tak straszne, że marynarze powyskakiwali na lód i w niemem przerażeniu patrzyli, co dalej będzie; dopiero świstawki oficerów i gniewna komenda kapitana przywołały ich na miejsca. Statek był jednak uratowany. Czas jakiś jeszcze lody doń szturmowały, nie mogły jednak zdruzgotać, ani przechylić dużej kry, na której spoczywał. Od wstrząśnień wyprostował się trochę; a gdy wieczorem wiatr ucichł, wszystko w jednej chwili zastygło w takiem położeniu, w jakiem zastała je cisza. W mgnieniu oka gęsta jak smoła woda, nasycona igłami lodu, spoiła w jednolitą całość spiętrzone bryły. Martwa cisza i ciemność, przesiąknięta białemi parami, zaległy nad blademi lodami z wzmarzniętym w nie skołatanym okrętem.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa
i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

